

gólnie mizernie.

– No, gdzie te ziemniaki? – wrzasnął Broniek, który lubił dominować nad słabszymi.

Leszek próbował się zerwać, lecz widocznie ból był zbyt dotkliwy, bo nie wstał, tylko skulił się jeszcze bardziej. Ja, udając, że nie słyszę w pytaniu napastliwego tonu, odpowiedziałem spokojnie: za tobą. W Bronka często wstępował jakiś niespokojny duch, podjudzający go do bójkii lub co najmniej do zwady, dlatego z zadziornością oznajmił, że ziemniaki są oblepione piaskiem i trzeba je natychmiast umyć. Przez moment chciałem wziąć ciężar zaczepki na siebie, ale ostatecznie burknąłem: – To sobie umyj! – i odszedłem na kilka kroków w kierunku rzeki. Leszek wciąż ślinił swoje rany, Kornel z trudem rozpałał ogień, a Broniek, często w złym humorze, nie wiadomo w jakim celu postawił na piecu odrobinę dziurawy garnek pełen wody i nieświadomie przyduśił ogień. Był to moment, gdy znad rzeki wrócił Bolek, niosąc dwie nieduże rybki. – Nic z naszego obiadu – powiedział. – Złowiłem za mało. Może jutro złowię więcej, a te dwie oddamy kotom. – Widząc zakłopotanego Bronka, pocieszył go: – Nie martw się. Jutro dziurę w garnku zatkamą szmatą i poprawimy piec. Dziś kartofle można wrzucić do ogniska, ale trzeba się spieszyć, bo za chwilę zawołają nas na domowy obiad.

Był najstarszy i on rządził. Wygarnęliśmy z paleniska żar i gorący popiół, którego było wystarczająco dużo, by upiec ziemniaki. Z końcem uczyty z domu dobiegły nawoływania. Ruszyliśmy natychmiast. Niemal przed domem, w miejscu gdzie rozwidlały się nasze drogi, Bolek stanął i zapytał: – A gdzie Małenka?

– Chyba została – powiedziałem. – Bolek nakazał Leszkowi wrócić, a on posłusznie wykonał polecenie i powoli zaczął znikać za jodłami. Byłem już blisko podwórka, lecz coś podpowiedziało mi, że też powinienem zawrócić. Gdy dobiegałem do łąki, zobaczyłem Leszka, jak stał nad ugaszonym ogniskiem i próbował znaleźć jakiś zapomniany ziemniak, ale wszystkie były wygrzebane. Po chwili podniósł kawałek spalonej łupinki i zjadł. Widząc to, zawstydzilem się, bo uczestniczyłem w zabawie, udając razem z chłopakami, że Leszka nie ma, że gdzieś poszedł, więc nie ma potrzeby dzielenia się z nim czymkolwiek, gdy tymczasem on siedział obok, milczał i tylko dziwnie na nas spoglądał.

Wśród różnych myśli jedna była wyjątkowa: „nie mam brata”. Krótkie, proste zdanie wobec zaplątanych słów, obrazów, zgrzytu zawiasów w stodole czy skrzypienia śniegu. Pojawiła się nagle, jakby światło rozproszone w okolicy skupiło się i uderzyło we mnie.

„Nie mam brata”.

Te trzy słowa zaczęły coś porządkować, przybliżać mnie do jakiegoś sensu. Nie wiedziałem, dokąd mnie prowadzą i nie wiedzia-

łem, czy chcę tam iść.

W ten sposób po raz pierwszy w sprawie mojej egzystencji nieoczekiwanie wkraść się czynnik irracjonalny. Dotąd sprawy bytu były sprawami filozofów, nie moimi. Nie potrzebowałem wiedzy chociażby o tym, że są różne rodzaje nieobecności, taka zwykła, przyjemna i druga, podobno prawdziwa, niepojęta, gdzieś w kosmosie łącząca w jeden niebyt nienarodzone dziecko i śmierć starca. Moje myśli nigdy wcześniej nie poruszały się takimi torami.

„Nie mam brata!”.

Odkąd zacząłem zapamiętywać świat, brat zawsze był, raz w bliskości, raz w oddali, ale był. Nawet nie przemknęło mi przez głowę, że jego obecność z jakiegoś powodu jest dla mnie wyjątkowa i bardzo ważna. Przez wszystkie lata niczego od niego nie chciałem, nie oczekiwałem, bo i cóż Leszek mógł mi dać? Uważałem, że żaden z nas nic nie miał. Czym mogliśmy się obdarowywać, nic nieznaczącymi drobiazgami? Tego dnia spojrziałem na to inaczej, bo Leszek, odchodząc, coś mi jednak sprezentował. Swoim zwyczajem w dyskretny sposób zostawił problem – pustkę, która będąc z pozoru niczym, powoli zapełniała się niespodziewanymi myślami.

„Nie mam brata”.

Tylko trzy słowa, a potrafiły wydobyć myśli świadomie usypiane, spychane gdzieś na pobocze, uznane kiedyś za zbyteczne. Dopiero gdy go brakło, dotarło do mnie, że zawsze chciał mi coś powiedzieć, coś przekazać, ale ja nie byłem gotów słuchać i on o tym wiedział. Dlaczego przykładamy wagę wyłącznie do myśli przekazywanych słowami? Czyż nie głębiej dociera do nas gest lub grymas twarzy? Szukałem odpowiedzi. Po chwili przypomniałem sobie, że Leszek najwyraźniej nie lubił słów, posługiwał się nimi oszczędnie, on mówił tym wszystkim, co go stanowiło.

Nie mam brata, nie mam brata... powtarzałem kilkakrotnie, aż pojawiła się świadomość, że nigdy nie używałem tego słowa. Mówiłem o Leszku, myślałem o Leszku. Brat z Leskiem nie ma nic wspólnego. Brat jest pozbawiony barwy, specyficznej dla każdego z nas treści, a w wypadku Leszka w szczególności jego umiaru, łagodnego głosu i umiejętnie opanowanych gestów.

Być bratem... Co to właściwie znaczy? Czy nim byłem? A jeżeli tak, to kiedy nim byłem?

Zagłębiłem się w minione lata, szukając tam wyjaśnienia, a znalazłem małych chłopców znad strumienia przejętych zabawą czy to na skarpie obrośniętej poziomkami, czy na nadrzecznej łące, czy w lesie. Przyglądałem się naszym radościom i lękom, bo przecież wtedy, w dzieciństwie, coś w nas kiełkowało, coś się stawało, by z czasem umocnić się i w swoisty sposób naznaczyć. Może piętnem Kaina lub Abła?

O szyby uderzały krople, bo deszcz rozpadał się na dobre. Podwórko opustoszało,

zaległa cisza, a ja zanurzony we wspomnieniach poczułem przyjemność i ulgę. Nie, nic godnego uwagi nie odkryłem, ja tylko zrozumiałem, że mimo śmierci rodziców i Leszka, oni wciąż ze mną są, bo są w mej pamięci.

Powiadają, że każdy z nas jest po części dobry, po części zły. Jeżeli to prawda, to moje najlepsze „ja” musiało się odezwać w chwili, gdy pomyślałem, że dobrze było z nimi być. A co z najgorszym „ja”? Które odzywało się częściej, a które okazjonalnie?

Zasychało mi w ustach, bezwiednie rozglądałem się za czymś do picia, ale nie wstałem z fotela, ponieważ ważniejsze były powroty do rodziny, do naszego domu i losu – do dawnych lat. Rozmyślenia utrudniał szum deszczu, który zacierał ostrość wspomnień, relatywizował je i byłym może udzielił, że takie roztrząsania minionych zdarzeń nie mają sensu, gdyby nie pamięć. Pamięć to coś niezwykłego i wyłącznie naszego. Umie różnicować i oceniać. Gorliwie wyszukuje i przywraca jasne chwile, a czernie zagrzebuje gdzieś w zakamarkach lub usuwa z naszej świadomości. Z tej racji każdy z nas ma prawo uważać się za porządnego człowieka, mimo że wszyscy ludzie mają coś na sumieniu. Przy okazji odkryłem, że żaden późniejszy postępek nie tkwi we mnie takim poczuciem winy, jak ten z okresu dziecięcej zabawy. Jedna skorupka spalonego ziemniaka gnębi mnie do dziś, może nawet dziś mój wstyd ma dużo silniejsze rumieńce.

Leszek, mały umorusany brat – Jedwabny. Już go nie ma. Ciekawe, czy wiedział, kto go tak nazwał. Był z nas jedynym, który miał przezwisko. Czy to go bolało?

Wstałem, gdy złapały mnie dreszcze. Wiało od balkonu, więc poprawiłem źle domknięte drzwi, przez które wdierał się chłód, i poszedłem do kuchni po szklankę gorącej herbaty. Sam nie wiem, kiedy łączywie ją wypilem. Zziębnięte nogi owinąłem ciepłym szlafrokiem, wtuliłem się głęboko w fotel i ponownie wróciłem do rozmyślań. Dziecięce lata zapisane w zakamarkach mózgu wróciły jak żywe.

Ta niedziela była gorąca, sierpniowa, pełna zapachu kwiatów, które przygotowane przez Malutką wędły w koszyczku. Malutka to nasza samodzielna i wymagająca trzyletnia siostra Marysia. Nie ta sukienka, nie te buciki, raz chcę, raz nie będę, grymasząc tak, zazwyczaj kręciła się między nami jak bączek, świadoma miłości, która ją otaczała i wyróżniała. Pamiętam jej marudzenie: „Chcę kokardę z kwiatkami, chcę kokardę z kwiatkami, chcę...”.

Wybieraliśmy się do kościoła. Moment wyjścia jak zwykle się odwlekał. Malutka siedziała na krześle wyprostowana niczym królowa. Miała na sobie białą sukienkę ozdobioną kolorowym haftem, białe skarpetki i czarne lakierki. Była bardzo zadowolona z własnego wyglądu, ale nie zauważała zachwyty innych, więc z dziecięcą przebiegłością